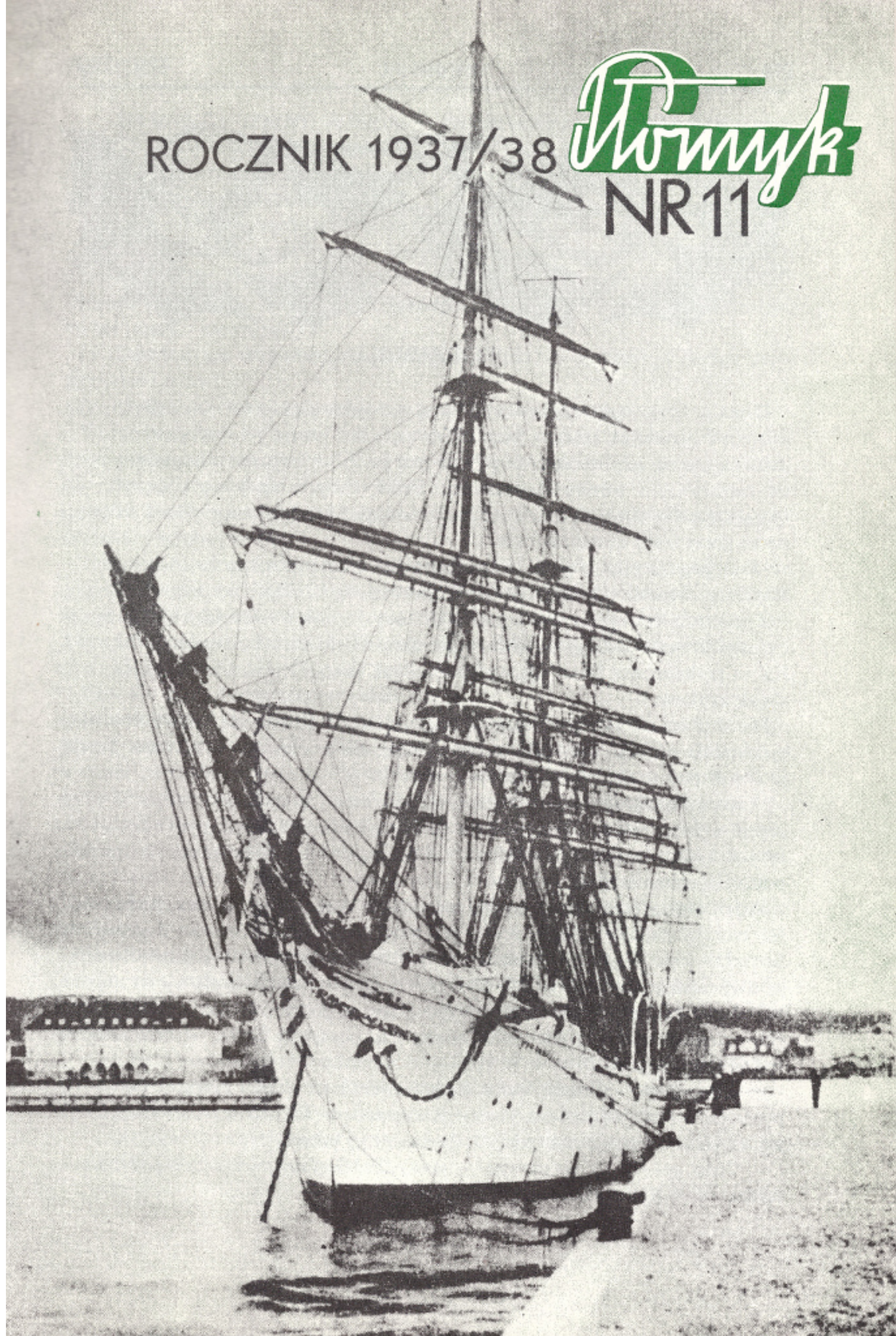


ROCZNIK 1937/38

Przegląd
NR 11



Hanna Karwowska "Chłopiec z XXI wieku"

Fahrenheit Crew



Od redakcji: *Dziś, z okazji Dnia dziecka, mamy dla Was ciekawostkę, rarytas. Tekst został pierwotnie opublikowany w Płomyku z 28 kwietnia 1938 r. Minęło ponad 76 lat od czasu jego powstania, a wizja świata za naszym oknem nie odbiega „prawie” wcale od tej przedstawionej w opowiadaniu...*

CHŁOPIEC Z XXI WIEKU

Punkt o dziewiątej rano wielka gumowa łapa spadła na nogi Bogdana, tarmosząc je z lekka, ale stanowczo. Chłopiec obudził się, ziewnął i przeciągnął kilkakrotnie na swoim twardym tapczanie. Od wczoraj były już wakacje, więc nie potrzebował spieszyć się do szkoły, ale i tak nie chciał dłużej spać, bo w południe oczekiwał go u siebie przyjaciel.

Wyskoczył zatem Bogdan spod kołdry i schował we wnęce ściany gumową łapę, która go obudziła. W XXI wieku nie używano już wrzaskliwych zegarków-budzików, które darły się na cały dom i stawały wszystkich na nogi, pomimo że miały obudzić tylko jedną osobę.

Kiedy Bogdan po gorącym prysznicu leżał na kąpielowej kanapce, a elektryczny robot masował mu całe ciało, zaterkotał nagle mały niklowany przedmiot stojący na stoliku.

- Halo, halo! Tu mówi Tadek - cicho, ale wyraźnie powiedział głos w aparacie. - Kiedy do nas wystartujesz? Umówiliśmy się na dwunastą, ale przyjeźdź wcześniej, bo pogoda niepewna, barometry spadają, będzie burza. Uważaj, żebyś zdążył przed nią do nas przylecieć...

Twarz Tadka, widoczna na małym ekranie przyrządu, była wyraźnie stroskana, ale Bogdan nie zwrócił na to uwagi.

- Tadek zawsze przejmuje się byle czym i, choć jest nowoczesnym człowiekiem, nie dowierza jeszcze moim skrzydłom, jakby to nie był stary i wypróbowany już wynalazek - pomyślał Bogdan, chcąc jednak uspokoić przyjaciela obiecał się pospieszyć.

Rzeczywiście, w mig był ubrany, a po śniadaniu skoczył do windy i piorunem wyjechał na dach ojcowskiej willi. Mieściło się tutaj domowe lotnisko, czyli niewielki taras bez poręczy, z którego można było startować prosto w powietrze. Na szczycie stała również niewielka budka-garaż, gdzie składano przyrządy do latania. Bogdan wyniósł jeden z nich na taras, złożył odpowiednio wszystkie części, połączył je ze sobą przy pomocy sprężystych spinaczy, po czym wdział na siebie aparat, tak jakby to była skóra ptaka, i rozłożył skrzydła. Zanim jednak skoczył z tarasu, wyjął jeszcze z kieszeni swój telefonik zabrany z nocnego stolika.

- Halo! To ty, Tadek? Już startuję! - zawołał w stronę krążku mikrofonu nastawiwszy uprzednio odpowiedni numer na małej tabliczce rozdzielczej. - No, do widzenia tymczasem!

Był czerwcowy pogodny dzień i zanosilo się na upał. W promieniach słońca oślepiająco błyszcząły wielkie skrzydła Bogdana, zrobione z tysięcy cieniutkich i lekkich rurek z nietłukącego się, elastycznego szkła. Nabierając automatycznie powietrza w skrzydła, Bogdan wzniósł się wysoko i rozejrzał się po okolicy. Na dalekim kręgu horyzontu wyraźnie było widać jakieś mgliste opary.

- Będzie burza. Tadek miał rację, ale dam sobie radę. Za pół godziny najdalej powinienem być na miejscu - pomyślał spoglądając na szybkościomierz, umieszczony na przegubie ręki. - Mam ze sto kilometrów do przebycia. Spacerkiem przelecę, burza jeszcze daleko... No, ale gdyby mógł mnie zobaczyć który z moich dziadków żyjących w XX wieku, dopieroż by się zdziwił. Cóż to były za ciężkie maszyny te ich samoloty poruszane benzynowymi motorami! Ciągłe się to psuło, a ludzie kręcili sobie karki! My co innego! Latamy jak ptaki - z dumą pomyślał o umieszczonym na plecach małym motorku elektromagnetycznym, lekkim jak tekturowe pudełko, a jednocześnie posiadającym moc 25 koni mechanicznych.

Nadęty pychą i powietrzem jak balon leciał dalej kierując się na wschód, kiedy nagle w lewe jego skrzydło uderzyła gorąca fala porywistego wichru.

- Teraz będziemy lecieć - przemknęło przez mózg Bogdana, windującego się z trudem, ale stanowczo na grzbiet powietrznego prądu.

Jakiś czas leciał ze zdwojoną szybkością, ale kiedy potężne uderzenia wiatru jęły miotać nim coraz gwałtowniej i przewalać z boku na bok, musiał pomyśleć o lądowaniu.

Słały się pod nim zagajniki i pola, a niżej, nad jakąś rzeczką, szerokie, płaskie łąki. Miejsca do lądowania było dość, ale bardzo trudno było zniżyć lot.

Porywisty wicher rzucał Bogdanem jak piłką, a wreszcie skrzydła, w jednej chwili zmieniając je w miazgę zgruchotanego szkła. Przez chwilę Bogdan leciał jak kula, ale wnet załopotał nad nim roztwierający się parasol wielkiego spadochronu. Jeszcze parę minut i Bogdan leżał na ziemi jak długi.

Nic mu się nie stało, bo kilku lekkich zadrapań im rękach i nogach nic można było traktować poważnie. Usiadł więc i ściągnął czym prędzej spadochron, gdyż wiatr nie dawał za wygraną wydymając „parasol” i ciągnąc po ziemi niefortunnego lotnika.

- Gdzie ja jestem? - pomyślał Bogdan.

Wyjął z kieszeni składaną mapę, zupełnie niepodobną do tych kiedyś używanych. Okalała ją dość gruba metalowa ramka, a powierzchnię jej okrywała przezroczysta błona, pod którą kręciła się srebrna kula rtęci. W chwili kiedy Bogdan rozłożył mapę płasko na ziemi, kulka stanęła nieruchomo.

- Aha! Jestem na Podlasiu, pod Białą. No, można wytrzymać... W pół godziny pieszo będę na miejscu,

tym bardziej że mam swoje wrotki...

Podniósł się i szedł z pola do niedalekiej szosy, Wkrótce potem po gładkiej, bazaltowej nawierzchni ślizgały się już jego wrotki. Rychło jednak po plecach Bogdana zaczęły spływać strugi potu. Słońce prażyło nieznośnie, gdyż wiatr ustał i burza przeszła bokiem.

- Może nadjedzie jaki samochód? - pomyślał chłopiec.

Ale samochodu nie było widać, za to gdzieś daleko na szosie odezwał się charakterystyczny trąkot kół chłopskiego wozu. Po chwili Bogdan dojrzał ten terkoczący pojazd. Na wozie, zaprzężonym w jednego konia drepającego truchcikiem z boku dyszła, siedział stary chłop, ubrany w samodziałowe spodnie i płócienną koszulę. Na głowie najstarodawniejszą modą miał szeroki słomiany kapelusz, opasany kawałkiem czerwonej krajki.

- Skąd to jedziecie, gospodarzu?

- A z domu! - odrzekł chłop.

- A nie podwieźlibyście mnie do miasta?

- Laciej nie?! Toć jadę do Białej. Proszę siadać - wskazał miejsce przy sobie na wiązce słomy okrytej derką.

Bogdan wskoczył na wózek. Ruszyli wolnym truchtem. Potoczyła się rozmowa.

- Wy tak zawsze koniem? Nie lepiej to samochodem jeździć do miasta?

- Ee, ni - odrzekł chłop. Maszynę mom, a jakże. Wedle ty wojny, jakby co, nie dej, Panie Boże. Ale syrca to do nij ni mom. Kuń to je kuń, swoje bydle, kochajonce. Wiadumo! Stworzenie Boskie, co ludzkom mowe rozumi. A maszyna... phi - machnął lekceważąco batem. - Chto jom ta wi, co w nij siedzi?

- A radio macie?

- No, jakże. Przecie, ze mom. I telewizor... W niedziele to sie słucha i patrzy...

- To wynalazki są u was tylko od wypadku i od święta?

- A to zależy. Gospodarkę mom dużą i syćko na lekstryce, światło, młockarnia, dojacz do krów dojenia, młynek, inszy inwentarz. Traktor także mom. Ziemia dobro, ciężko, kunia mi zol, cheba co w niego za bronuje. Robota lekko a przyjemno... Wio srokaty, wio - popędził konia łechcąc go batem po zadzie i, nie zważając na milczenie Bogdana, ciągnął dalej: - Do kunia to jo syrca mom, ej, mom... jak ojciec, dziad, pradziad...

Na lotnisku, gdzie chłop odwiózł Bogdana, można było sobie wybrać niejedną parę nowych skrzydeł. Opłata za wynajęcie była niewielka, ale Bogdan nie chciał z nich korzystać. Wielki, wytworny samolot, kierowany ze stacji elektromagnetycznymi falami, gotował się właśnie do odlotu. Bogdan zatem kupił bilet i wsiał. Kurs samolotu wypadł tuż nad miasteczkiem, gdzie mieszkał Tadek, i Bogdan postanowił skoczyć ze spadochronem na podmiejskie łąki, obok których stał dom rodziców Tadeka. Z powrotem do Warszawy postanowił odlecieć małym aeroplanem elektrycznym przyjaciela. O odesłanie nie kłopotał się. Po odpowiednim nastawieniu zegara w motorze samolot wracał sam, lądując na miejscu przeznaczenia.

Wielki samolot ruszył. Bogdan wychylił się z okna, machając czapką w stronę gospodarza, który podwiózł go na lotnisko. Chłop stał obok swego konia, pieszczotliwie trzymając go za łeb, i zadzierał głowę do góry.

- Ja także kocham konie - uświadomił sobie nagle Bogdan: - Maszyny się nie wyrzeknę, bo żyć bez niej nie można, ale konie kocham - jak ojciec, dziad, pradziad...

Hanna Karwowska